

# GŁOS z WIDOWNI

## 665 „Promises-Promises”

**T**EATR Muzycy w Gdyni wystąpił ze swoją ostatnią musicalową premierą w starym budynku przy ul. Bema — już następna odbyć się ma bowiem w nowym gmachu pod Kamienną Górą. Pisałem nie tak dawno, że nie będzie to wyłącznie prze-prowadzka, ale nowe warunki narzucają zupełnie inny rytm i styl pracy całemu zespołowi, że będzie to właściwie o-twarcie nowego Teatru Muzycznego, przejmującego doświadczenia i tradycje tego, który przez wiele lat istniał przy ulicy Bema, popularnością swoją sięgającą na obszar całej Polski, a nawet dalej. Popularnością, która sprawiła, że nazywano go po prostu w gro-nie krytyków „teatrem Baduszkowej” i wszyscy od razu wiedzieli o jakim to teatrze mowa.

Nowa premiera stanowi jakby po-most, można nawet zaryzykować uży-cie metafory, że stanowi trampolinę do nowych zadań. Jest to bowiem z ogromnym rozmachem (na jaki oczywiście pozwala wciąż maleńka scenka) zrealizowany musical, zbierający od lat oklaski na wielu scenach — w ślad za triumfem filmu „Garsoniera” Billy Wildera i J. A. L. Diamonda. Tytuł „Promises — Promises” jest idio-mem, który przełożyć można na polskie „Obiecanki — Cacanki”. Autorzy przekładu (A. Marianowicz i J. Minkiewicz) zachowali jednak, skuszenie chyba, tytuł oryginału — co najwyżej opatrząc go w nawiasie tłumaczeniem dosła-wnym „Obiecanki — Cacanki”. Libret-to napisał Neil Simon, a muzykę (a to jest najważniejsze!) skomponował słynny Burt Bacharach, który uważany jest często za następcę Irvina Berlin-a w muzyce lekkiej i rozrywkowej.

Fabula sztuki jest wąta, a gdyby nie podparta muzyką i całym zaple-czem orkiestrowym, baletowym i chórami — niełatwo byłoby jej obronić się przed krytyką. Na ekranie obrony pod-jęli się → Shirley McLaine i Jack Le... i... wygrali. Ale na to trzeba było takich tuzów filmowego aktorstwa — plus znakomitej reżyserii, aby ta najsłynniejsza historia o małym szczęś-ciu amerykańskiego „everymana” sys-

kała aplauz. Jest to bowiem ekliwa „stery” o skromnym urzędniku wielkiej firmy, który posiada jedną szczególną cechę, wyróżniającą go w oczach dy-rekcji z tłumu innych urzędników — ma niekrępującą garsonierę, położoną w centrum miasta. Z początku korzysta z niej równie... szef urzędnika, póź-niej naczelnik szefa, następnie jeszcze ktoś wyższy — aż do naczelnego dyrek-tora włącznie. Równocześnie skromny urzędnik awansuje „w dowód uzna-nia”, nieświadomy tego, że w jego garsonierze znajduje się wreszcie także dziewczyna jego marzeń — tyle, że z kim innym...

Autorami inscenizacji i reżyserami gdyńskiej premiery są Danuta Badusz-kowa (która przed kilku laty spenetro-wała teatry na Broadwayu, aby zoba-czyć jak podobne inscenizacje wyglą-dają w USA) i znany twórca widowisk komediowych i satyrycznych Zbigniew Bogdański. Kierownictwo muzyczne spo-czywało w rękach Ryszarda Damrosza, którego również specjalnie rekomendo-wać nie trzeba, ale chyba inscenizacja „Promises — Promises” przysporzyła mu trochę siwych włosów na głowie. Nie — tyle ze względu na trudności uzyskania samego brzmienia orkiestry i zgrania jej z nowoczesną wokalistyką i chórami, ile w związku z trudnościami w technice prezentacji, gdzie — z różnych przyczyn — głos podawany na turalnie łączy się z głosem przekazy-wanym przez wzmacniacze gdzie in-strumenty brzmiały raz z kanału a raz z głośników, innym razem natomiast włącza się nagranie z playbacku. Za-sady te stosuje się już w teatrach mu-zycznych na świecie ale posiadających centralę techniczną godną malej roz-głośni telewizyjnej i przy pomocy bar-dziej sprawnej i nowoczesnej aparatu-ry. Ze mimo wszystko całość udaje się, że odbiór wokalo-muzyczno-techniczny jest zsynchronizowany od początku do końca — to zasługa niewidzialnej armii ludzi, nie przespanych nocy i tych właśnie nowych słiwych włosów na gło-wie Damrosza.

Ale udaje się wszystko, a gdy od pierwszych scen wprowadza się na tę małątką scenę tłum fotografujący w rytmie muzyki, gdy wpadają nagle tan-cerze (brawo dla choreografii Przem-



sława Sliwy), odnosimy wrażenie, że wprowadzona została w ruch gigantycz-na machina nowoczesnego teatru mu-zycznego i nawet nie zdajemy sobie sprawy, że w warunkach jakie teatr muzyczny miał dotąd na Bema jest to wciąż jeszcze udany eksperyment, a nie reguła.

No i wreszcie aktorzy Jacek Labuda dość prostymi środkami buduje swoją rolę urzędnika Chćka Baxtera i łatwo przechodzi z akcji dialogowej, do wokalnejszej prezentacji przebojów. Irena Pa-jak — adeptka studia przy Teatrze Muzy-cznym, może śmiało rolę Fran Kobelak w „Promises — Promises” traktować jako egzamin dyplomowy, sprawdza się bo-wiem w bardzo trudnych sytuacjach i jest dobra zarówno aktorsko, jak i wokalnie (duet z Labudą w piosence „Co z tego masz” zasługuje na same pochwały). Chyba słusznie się stało, że Baduszkowa obsadziła właśnie w tej roli aktorkę o urodzie charakterystycznej, mniej lalkowej, a bardziej nasu-wającej skojarzenia w typie z filmo-wymi pierwowzorami Lizy Minelli lub właśnie Shirley McLaine aniżeli z sex-bombą, lub lalczką. Skojarzenia filmo-we widzów są tu ważne, ten typ widowiska budzi bowiem bez wątpienia reminiscencje ekranowe.

Z innych postaci, które dzięki aktor-stwu i walorom wokalnemu (zawsze liczą się te walory w musicalu razem — nigdy oddzielnie!) wybijają się na plan pierwszy, wymienilibym tu jeszcze Ze-nona Bestera jako dyrektora J. D. Sheldruke, Elżbietę Drzewiecką jako Margo McDougall (świetna w dialo-gu i duecie z Jackiem Labudą), Ur-

szulę Polanowską w roli fertycznej, kor-pulentnej Miss Olsen oraz Józefa Korzeniowskiego, który z postaci dok-tora Dreyfussa uczynił prawdziwe arcy-dzieło modelunku aktorskiego.

Pomyłek obsadowych nie było, tem-po ani na chwilę nie słabło, a wyci-szanie nastroju rewii w scenach dia-logowych, kameralnych — było celowe i trafne. W przekładzie dialogu i pio-senek dokonano wiele dowcipnych tra-westacji typowo amerykańskich zwro-tów na brzmiące bardziej swojsko.

Oprawę plastyczną całości zaprojektował Andrzej Markowicz, rozbijając kostiumowość na dwie grupy modeli — rewiiowy oraz realistyczny (ulica nowo-jorska), dostosowując to do zmiennoś-ci nastrojów i kompozycji widowiska. Scena zabudowana przejrzystości, choć może mało oryginalnie. Światła pracu-ją rzetelnie, ale jak na takie widowis-ko — wciąż tego za mało i za statycz-nie. Ale nie wybrzdajmy!...

W sumie jeszcze jeden udany ekspe-ryment (bo eksperymentem jest w wa-runkach teatru przy ulicy Bema każdy spektakl musicalowy i rewiiowy), który powinien stać się regułą w nowym gmachu i w nowych warunkach.

Na zdjęciu — jedna ze scen z mu-sicalu Burt Bacharacha „Promises — Promises”.  
Fot. T. LINK

**Sławomir Sierecki**